

Marija, Signor Lobo

Wojciech Pokora

redaktor naczelny

wojciech.pokora@polskapress.pl



Felieton

Gdy w najbliższych dniach odwiedzać będziemy groby najbliższych na lubelskich cmentarzach, warto pamiętać o odwiedzinach tych, którzy dla naszego miasta, kraju i kultury zapisali się szczególnie. Wielu z nich pochowanych jest na cmentarzu przy ul. Lipowej. Wśród grobów wielu sławnych lublinian – w tym np. Kazimierza Jarczewskiego, Jana Mincla (pierwowzoru starego Mincla z „Lalki” Bolesława Prusa), Hieronima Łopacińskiego, Piotra Ściegiennego, Józefa Czechowicza, Idziego Radziszewskiego i wielu niemniej zasłużonych, znanych i lubianych mieszkańców naszego miasta, znajduje się grób dla mnie szczególnie – Józefa Łobodowskiego, poety, pisarza, publicysty, redaktora naczelnego Kuriera Lubelskiego (w 1937 roku).

Grób pisarza znajduje się w sekcji 14 cmentarza, łatwo tam trafić, widać go z głównej alejki. W tym samym grobie kilka lat temu pochowany został jego siostrzeniec, znany lubelski dziennikarz Adam Tomanek. Ale jak Łobodowski, który zmarł w Madrycie, i którego nazwisko przez cały okres trwania komunizmu znajdowało się na indeksie, trafił do rodzinnego grobowca w Lublinie? To ciekawa i warta przypomnienia historia.

Józef Łobodowski trafił do Hiszpanii jeszcze podczas II wojny światowej i od razu dał się we znaki komunistom. Był jednym ze współzałożycieli Sekcji Polskiej Radia Madryt, w którym słynął ze swych ostrych antykomunistycznych wystąpień. Pisał dla londyńskich „Wiadomości” (cykl felietonów pt. „Worek Judaszów”), paryskiej „Kultury” (głównie o relacjach polsko-ukraińskich), „Tygodnia Polskiego” i „Orła Białego”. Jego aktywność nie uszła uwadze władz komunistycznej Polski. Łobodowski został pozbawiony obywatelstwa, jego żonie kazano się z nim rozwieść, a jego nazwisko trafiło na indeks. Nie ułatwiło to sprowadzenia jego szczątków do Polski po śmierci.

Jak wspomina Piotr Jegliński, założyciel wydawnictwa Editions Spotkania, z którym Łobodowski był związany w ostatnich latach swojego życia, do Madrytu ściągnął go Tadeusz Filipowicz z Polskiej

Fundacji Kulturalnej w Londynie, który zadzwonił 18 kwietnia 1988 roku z informacją o śmierci poety. 21 kwietnia odbyły się uroczystości pogrzebowe. Żałobnicy odebrali ciało zmarłego ze szpitala i po modlitwie pojechali z nim na cmentarz, gdzie przy kaplicy funkcjonowało krematorium. Jegliński relacjonował: „W obecności polonii madryckiej oraz reprezentantów uchodźców ukraińskich, a także wielu przyjaciół odbyła się msza św. Po niej podszedł do mnie Piotr Potocki (delegat Rządu RP na Uchodźctwie w Hiszpanii – przyp. red.) i wręczył mi jakiś kwit. Powiedział: <<- Nasza rola emigracji politycznej się skończyła, teraz jest twoja rola. Ty byłeś jego ostatnim wydawcą i musisz się Nim zająć>>.” Potocki przekazał także ostatnią wolę Łobodowskiego – chciał spocząć u stóp matki, na cmentarzu w Lublinie przy ul. Lipowej.

Tak zaczęła się ostatnia tułaczka Józefa Łobodowskiego w drodze do rodzinnego grobowca. Prochy pisarza odebrano następnego dnia z krematorium, spakowano do reklamówki i z takim bagażem delegacja udała się do mieszkania poety, by uporządkować jego dokumenty. Było to ważne, bowiem ambasada PRL już zaczęła interesować się spuścizną po niepokornym publicyście. Po wyjściu z mieszkania, delegacja wpadła na pomysł, by przed wyjazdem z Hiszpanii zabrać prochy pisarza w jeszcze jedno, ważne dla niego miejsce. „Panowie, chodźmy, uczcijmy Józia w Jego barze, w którym codziennie siedział i na maszynie, przesuując ręką taśmę, wystukiwał swoje poematy i inne teksty” – rzekł jeden z przyjaciół i delegacja udała się do ulubionej knajpki Łobodowskiego. To w niej pisarz oglądał ulubione mecze, pił wino i tworzył. Znali go tu wszyscy, a przede wszystkim barman. Dlatego, gdy trzech żałobników usiadło przy ulubionym stoliku Łobody, na środku którego postawili reklamówkę z urną, a następnie zamówili cztery szklanki wina, barman nabrał podejrzeń. Gdy tajemniczy goście wypili zawartość swoich szklanek a winem z czwartej skropili urnę, barman nie wytrzymał. „- Panowie,

jest was trzech, a tutaj cztery szklanki są” – powiedział i nagle zakrył twarz rękoma i krzyknął: „- Marija, Signor Lobo!”. Tak nazywano Łobodowskiego w Hiszpanii. Lobo znaczy wilk.

Prochy z Madrytu trafiły do Londynu. Przemycił je tam Tadeusz Filipowicz, zabierając na pokład samolotu w plastikowej reklamówce. Piotr Jegliński opisał to w następujący sposób: „Kiedy usiadł w samolocie, położył Łobodowskiego obok siebie. Gdy stewardesa prosiła o zapięcie pasów, oznajmiła Tadeuszowi, że pakunek powinien włożyć pod nogi. Ten odpowiedział: <<-Ja nie mogę, to jest mój przyjaciel>>.” Ostatecznie kazano mu przypiąć urnę pasami bezpieczeństwa i kontynuować podróż z przyjacielem. Dalej już było tylko trudniej. Żona Filipowicza, gdy dowiedziała się o zawartości reklamówki po jego powrocie do domu, spakowała się i wyprowadziła do hotelu. Łobodowski za życia zdecydowanie lepiej działał na kobiety. Zostało przetransportować go jeszcze do Polski. Urna trafiła najpierw do kościoła pw. Andrzeja Boboli w Londynie, następnie do Biblioteki Polskiej, gdzie schowano ją w sali conradowskiej. Między książkami. Zadanie przewiezienia prochów do Polski spoczęło na Andrzeju Paluchowskim, dyrektorskiej Biblioteki KUL. W tym celu zalegalizowano urnę w konsulacie, gdzie zgłoszono jedynie, że są to szczątki anonimowego mężczyzny w wieku ok. 80 lat. Dzięki temu fortełowi Łobodowski po niemal 50 latach wrócił do Lublina.

Uroczystości pogrzebowe Józefa Łobodowskiego odbyły się 22 października 1988 roku. Liturgii pogrzebowej w Kościele Akademickim KUL przewodniczył rektor uczelni bp. Jan Śrutwa. Tej samej uczelni, z której Łobodowski został relegowany w 1932 roku, „za szerzenie pornografii i bluźnierstwa w wydanych przez siebie utworach poetyckich”. ©®